

Adam Lizakowski

Jak zostałem „Noblistą”?

Jesień roku 1988 była dla mnie bardzo pracowita, wcześniej złożyłem podanie o amerykańskie obywatelstwo do Urzędu Imigracyjnego, dlatego musiałem przygotować się do egzaminu ustnego i pisemnego. Dużo czasu spędzałem na czytaniu różnego rodzaju skryptów, książek, broszur dotyczących konstytucji i historii stanu Kalifornia, w której mieszkalem, i Ameryki. Tej najnowszej i tej najstarszej historii z czasów wojny z Anglikami. Egzaminy zdałem bezbłędnie i powstała możliwość, że zanim zostanę oficjalnie zaproszony na przysięgę, otrzymam certyfikat stwierdzający, że jestem obywatelem amerykańskim, oraz paszport mogę zmienić swoje polskie nazwisko na jakieś amerykańskie. Na przysięgę czekało się wtedy kilka miesięcy, ale ja nie mogłem się zdecydować, czy zostać przy swoim nazwisku, czy wymyślać sobie coś amerykańskiego.

Sugerowali mi urzędnicy imigracyjni, a nawet zachęcali, bo będzie im łatwiej wymawiać moje nowe nazwisko, poza tym będzie o wiele mniej kłopotów w życiu codziennym. Sam wiele razy miałem ochotę zmieść Lizakowski na amerykańskie np. Lickman lub Litopon. Nowe życie w nowym kraju, dobrze byłoby rozpocząć z nowym nazwiskiem. Tak robiło przede mną miliony Polaków, miliony emigrantów ze wszystkich kątów świata. Długo o tym myślałem, ale żadne mi się nie podobało, ani też żadne oryginalne nie przychodziło mi do głowy. Z tłumaczem Richardem razem bardzo dużo tłumaczyliśmy mojej poezji na angielski, bo Richard sam, bez mnie nie tłumaczył, zastanawialiśmy się, co by tu wybrać, aby nazwisko było i piękne i poetyckie. Sporo też wysyłałem wierszy do amerykańskich pism literackich i miałem wrażenie, że miałbym więcej publikacji, gdybym miał amerykańskie nazwisko. Po co komu taki poeta, którego nazwiska nawet nie można wymówić. Przy okazji zacząłem z ciekawości w miejskiej bibliotece doszukiwać się czy są jacyś Lizakowscy w Ameryce i okazało się że są, i to sporo ich. Najwięcej przybyło w drugiej połowie XIX wieku i to z Kaszub, a osiedlali się głównie w stanach bardzo zimnych Wisconsin, Minnesota, Dakota.

W październiku tegoż roku też odbyła się w śródmieściu w Berkeley w siedzibie YMCA promocja najnowszego numeru poetyckiego pisma *The Galley Sail Review*, w którym była zamieszczona moja twórczość poetycka. Prasa lokalna dużo o tym pisała, a w komunikatach prasowych obok nazwisk miejscowych poetów było zamieszczone także moje. Szczęśliwy zadzwoniłem do pana Czesława aby się pochwalić, że będę czytał swoje wiersze podczas promocji pisma z wieloma gwiazdami lokalnej sceny poetyckiej z San Francisco, Oakland, czy Berkeley m.in.: z Jaimes Alsop, Jack Mueller. Mary Rudge, H.D.

Moe, Robert Sward, Morton Felix, oraz beatnikiem Jackiem Muellerem. Pan Czesław już wiedział o tym spotkaniu, pogratulował mi, ale ja nie miałem odwagi zaprosić go na nie, chciałem tylko się przed nim pochwalić. Jakie było moje zdziwienie, gdy podczas mojego właśnie czytania wierszy w drzwiach YMCA pokazał się kosmita pan Czesław z przyszłą żoną Carol. Kosmita ubrany jak zawsze w marynarcę, wełniane krawaty, wygolony, wyczyszczone buty, jasna wyprasowana koszula i spodnie. Popatrzył na mnie spod krzaczastych brwi, jakoś chłodno, ale się nie przestraszyłem jego wzroku.

Powstało poruszenie, gdybym nie czytał, to bym wstał, podszedł do niego i zaprosił, aby usiadł w pierwszym rzędzie, a tak pan Czesław usiadł sobie skromnie na końcu sali. Oczywiście poeci amerykańscy, beatnicy, albo w kręgów beatników tak samo byli zdziwieni jego obecnością jak ja sam. Oni byli ubrani w stare jeansy, przetarte na tyłkach i kolanach, w rozciągniętych swetrach lub w koszulach flanelowych wypuszczonych na spodnie. Z pierścieniami po kilka na każdej ręce, z indiańskimi wisiorami na szyjach. Polski poeta wszystkim im był znany z nazwiska, ale tylko niektórzy go widzieli na własne oczy, potrafili rozpoznać w tłumie. Miłosz był akademickim poetą, a oni byli poetami ulicznymi tzw. *street poets*. Nic ich nie łączyło ze światem Miłosza i odwrotnie. Oni czytali wiersze w pubach i kawiarniach, na skrzyżowaniach ulic i w parkach, a on na kampusie uniwersyteckim lub uznanych „biznesowych księgarniach”, które raczej nie miały na swoich półkach tomików wierszy poetów ulicznych. On sprzedawał w księgarniach swoje tomy wierszy po 20, 30 dolarów, a oni po 3 lub 5 dolarów w barach. Często oddawali swoje tomiki za filiżankę kawy, piwo lub lampkę wina.

Nie natrafiłem na obecność polskiego poety w życiu literacko-poetyckim u poetów ulicznych mieszkających nad Zatoką San Francisco, łącznie z będącymi u szczytu sławy poetów z *beat generation*. Co wcale nie oznacza, że o Miłoszu nie słyszeli, albo go nie znali. Jak już wyżej napisałem słyszeli i to bardzo dużo, ale jego poezja i to, co robił, była im zupełnie obca. Natomiast ku mojemu całkowitemu zdziwieniu na licznych spotkaniach poetyckich, w których uczestniczyłem, gdy powiedziałem, że jestem z Polski, poproszono mnie kilka razy o recytację wiersza Tadeusza Różewicza pt. *W środku życia*. Zнали tłumaczenie Miłosza tego wiersza na angielski, ale chcieli usłyszeć go po polsku było to dla nich ważne. Hippisi-poeci w San Francisco nie znali twórczości Herberta czy Miłosza, ale uczyli się na pamięć wierszy Różewicza. Uwielbiali tę zwrotkę:

*siedziałem na progu domu
ta staruszka która*

*ciągnie na powrozie kozę
jest potrzebniejsza
i cenniejsza
niż siedem cudów świata
kto myśli i czuje
że ona jest niepotrzebna
ten jest ludobójcą*

Wiersza tego nie znałem, ale w San Francisco Public Library było kilka półek z książkami polskimi. Było sporo Mrożka, polskiej klasyki i tomiki wierszy Różewicza. Piszę to dla tych osób, które z błyskiem w oku pytają się mnie o popularność Miłosza w Ameryce przed i po Noblu. Także dla tych, co w życiu nie kupili tomiku wierszy, nie byli na spotkaniu poetyckim, ale zadają takie i podobne pytania, myślą, że popularność poety w Ameryce, w świecie jest równa popularności gwiazd filmowych. Dostał Nobla, to musiał być znany – tak wciąż wielu myśli – sławny przede wszystkim zbił majątek na poezji, itp. Aby podeprzeć się mocnym argumentem zacytuję samego poetę, który tak pisze o sobie: *O tak, nie cały zginę, zostanie po mnie wzmianka w czterdziestym tomie encyklopedii w pobliżu setki Millerów i Mickey Mouse*. Jak widać poeta dobrze wiedział o małej roli poezji, zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji i poezji w świecie współczesnym.

Ale wracamy do spotkania poetyckiego, moja koleżanka Mary Rudge, która była moim przewodnikiem po scenie poetyckiej w S.F. Bay Area wtedy zaniemówiła. Po spotkaniu poszliśmy na piwo, tak jak to było w zwyczaju. W pubie po dwóch piwach Mary odzyskała głos, przy wszystkich obecnych oznajmiła, że poeta Czesław Miłosz Noblista przyszedł specjalnie na to spotkanie dla mnie, a dlaczego, bo moja twórczość bardzo mu się podoba. Pochwaliła mój amerykański akcent, mówiąc, że prawie wszystko zrozumiała co przeczytałem, a po chwili dodała, kto wie, czy nie słuchaliśmy wierszy następnego polskiego noblisty, wznosząc wysoko w górę rękę z butelką piwa, patrząc w moją stronę. I stało się, od tego czasu zostałem noblistą, nikt nie mówił mi po imieniu, tylko noblista. Pół biedy było, gdy przedstawiała mnie Amerykanom, ale gdy w towarzystwie byli Polacy na przykład w Cafe la Boheme, to był dla mnie koniec świata. Przypominałem sobie tę historię przy szukaniu nazwiska amerykańskiego, nawet przez moment pomyślałem, czy nie nazwać się Adam Nobel. Skończyło się jednak na tym, że zostałem przy nazwisku swojego ojca i przodków, którzy na Kaszuby przybyli w połowie XVIII wieku z Holandii, (teraz wiem, że jest to udokumentowane w księgach parafialnych na Kaszubach) i głupio bym się czuł, gdybym po dwustu latach, wielu generacjach Lizakowskich zaparł się siebie.